



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 18 września 1955 r.

Nr 38 (286) Rok VI

KAZIMIERZ BRANDYS

WSPOMNIENIA Z TERAŹNIEJSZOŚCI

NIM BĘDZIE ZAPOMNIANY

1

Zawsze wspominam tego człowieka z wściekłością: jego twarz, słowa, jakie wypowiadał, i to co uczynił. Czasami muszę o nim myśleć. Daremne myślenie, które nic nie odkrywa, spycha tylko na dno, w mół uczuć. Są tacy ludzie, którzy popelnionym świństwem brudzą innych, i każdy czuje się utylitany przez sam fakt, że ich znał.

„Kiedy mi to oznajmił, wie pan, na tarasie u Sachera, było tam wtedy pełno ludzi, niech mi pan wierzy, że z początku nie zrozumiałem, o co mu idzie. Dopiero w dobrą chwilę później zacząłem coś do niego mówić, a po tym, zdaje się, krzyknął. Gdyby nie ci ludzie, rozszarpałbym go, powybił mi zęby! Niech pan sobie wyobrazi moją sytuację!”

To były słowa dziekana Olborskiego, którego spotkałem na korytarzu w Ministerstwie, parę tygodni po fakcie. O jego „sytuacji” krążyło w swoim czasie mnóstwo pogłosek, zresztą wiedziałem, że był ojcem Ewy, i już to powinno wystarczyć. Chciałem o nią zapytać, czy jest w Warszawie i jak się teraz czuje, ale zabrakło mi odwagi. Olborski ma głowę krogulca, przepięknie nosi swoje rozwiane, posiwiałe pióra; spostrzegłem, że ta krogulcza głowa drży drobniutko, prawie niezauważalnie. Dawniej tego nie miał, musiał to przywieźć z podróży.

Oczywiście w kawiarniach opowiadano sobie tysiące bredni, rozwalkowując skandal jak ciasto; każdy szanujący się kibic tkal swoją rodzinę. Z czasem powstało coś w rodzaju giełdy, gdzie nieznane szczegóły uzyskiwały wysoki kurs. W późnowiosenne, upalne dni tego roku kobiety po raz pierwszy wyniosły na ulice swoje po „chłopięcemu, krótko ostrzyżone głowy; miasto błyszczało szybami w białym kurzu. Jednego z tych dni zatrzymała mnie na Nowym Świecie spocyna Lola Berg. Mam 60 lat — krzyknęła — i myślałam, że się już nie zdziwię! Ale to przechodzi ludzkie wyobrażenie! Dlaczego mnie tak męczycie?! Czy ty rozumiesz, że on nas wszystkich obdarł ze skóry? Moje biedne serce!” Miała wprawdzie tylko 50 lat, zawsze lubiła sobie dodawać, ale była rzeczywiście wstrząśnięta. Ona, natchnienie i rozkosz dwudziestu artystów, zbudowała sobie potężny gmach wiary w ich złote serca. Było to dla niej mauzoleum wspomnień, do którego wprowadziła się na starość.

Zdaje się, że tego samego dnia Chowaniec zaprosił mnie na herbatę. Pracował na rozżarzonym strychu, skąd widać strzęp Wisły. Miał mi pokazać swoje drewniane głowy, których nie chcieli mu wystawić. Przyjął mnie w kaletkach i wyciągnął litr z niebieską nalepką. Głowy były zasłonięte brudnym płótnem, nie chciał o nich mówić.

„Nigdy nie umiał pić — mruknął nalewając. — Po trzech kieliskach wydawało mu się, że jest Chrystusem. W szkole byłem o dwie klasy niżej od niego, już wtedy wzbudzał zachwyt. Nie mam pojęcia, jak on to robił, ale zawsze i wszystko udawało mu się lepiej niż innym. Byłem w tych czasach nieszczytnym gnojkiem i patrzyłem na niego z kąta, jak zaczarowany. Tak samo później, w Akademii. Nie musiał nawet nikomu nogi podstawić, sam płynął. Wszystkim wydawało się naturalne, że sława pcha mu się w ręce. Pamiętasz jego pierwsze akwaforty? Dali mu wtedy kolumnę w „Wiadomościach”. Cała kolumna! A wiesz, co ja wtemczas robiłem? Medaliki po złotych dla jakiegoś straganu z dewocjonalami. W Płonsku. Szczęśliwy bekart. Nie śmiałem mu nawet zadziścić. Po tym, w 1942 roku, po jakiejś łapance pitem z nim w knajpie na Topieli. Od dwóch lat malował tylko szkłanki. Patrzyłem w tę jego piękną głowę i byłem od razu święcie przekonany, że trzeba malować szkłanki, nic innego, rozumiesz, tylko szkłanki. Później wwiechałem do Jasty, dali mi tam pracę w tartaku, i znów straciłem go z oczu. Po wojnie dowiedziałem się, że przeżył. Już go nosili na rekach! Kiedy przywołałem się, zawesoł i zafajdany, do Warszawy, wystąpił mi o jakiś zasiłek. Uwielbiałem go, jak kundel. Nie malował już szkłanek, robił monumentalny styl epoki. Ale niedługo umiał pić. Ja się znam na pijakach, ten gość, myślałem, nie jest w porządku. Po trzech kieliskach zaczynał bełkotać o prawdzie. Ja, chm, nie lubiłem tego. Wórka daje głos twoim brakom. Masz brzydka, stara żona — po ćwiartce szukasz baby. Co on miał w sobie, że po trzech kieliskach zaczynał

obmacywać prawdę? Nie pij, mówię. Ja muszę skrapiać mój piach, ale ty chodzisz po rosie!”

Podobnych rozmów i spotkań miałem w tym okresie bardzo wiele. Wszystkie odbywały się bez udziału głównych osób, w całkowitym ich milczeniu i nieobecności. Z jednym wyjątkiem: pod koniec czerwca Weymont przemówił przez radio.

2

Pani Zofia N., z którą rozmawiałem na krótko przed jej śmiercią, powiedziała o obrazach Weymonta: „Jakie to niemądre”. Weymont był jednym z najinteligentniejszych ludzi naszego środowiska. O ile do brze pamiętam, wyraziła się wówczas, że przez „mądrość” rozumie nie kategorię intelektualną, lecz dar posługiwania się w życiu instynktem proporcji.

Weymont zapewne poczułby się tym zdziwiony, a jego wielbicieli dotknęci. Stał się przecież ich sumieniem i rozumem, wierzyli mu, kiedy mówił i kiedy milczał. W jego pracach, wystawianych wkrótce po wojnie, dopatrywano się „celowej etyki kompozycji”, w późniejszych — „aktu świadomego wyrzeczenia”. Nikt prócz niego nie potrafił tak wierzytelnie szukać prawdy i tak wiarogodnie komunikować o swojej mecie wyboru.

Te dni nie były łatwe i przypuszczam, że kronika trudów naszego pokolenia nieraz się do nich odwoła. Często jako ostatni argument pozostawała nam racja rozwoju. Ci, którzy i na to wzruszali ramionami, mieli doprawdy ciężkie życie: na przykład doktor Goldberg, którego od kilku lat nie ma już w Polsce. „Wszystko dałoby się wytrzymać — powiedział — nawet wielkość naszych czasów, gdybyśmy tylko byli pewni, że jej część spłynie także na nas”. Po czym wyjechał do Państwa Izrael.

Były to dni groźnych doświadczeń. Dziwnie szybko wyrastały mury między ludźmi — strzeżono się z nich wzajemnie. Raj dla pedantów! Są pedanci w dziedzinie przedmiotów, maniacy porządku w szufladach. Ale są także pedanci ogarnięci manią porządkowania żywych. Umieszczają ich w przegródkach, kładą ciężkie przyciski, usuwają odstających i spalonych. Wszystko to robią — tak jak pedanci w dziedzinie rzeczy martwych — z obawy przed kataklizmem bezładu. Ile czasu musi nieraz upłynąć, zanim wyjmie im się z rąk ludzkie istoty, a włoży klucze do kredensu!

Zbrodniczy fałszerz rewolucji siał między nami strach. Znaczenie najprostszych słów zmieniało się wówczas zależnie od tego, kto je wypowiadał i do kogo je zwracał. Znałem zalekanych cywilów gwałtem wciśniętych w pancerze, mężczyzn o sparaliżowanych twarzach bez uśmiechu i ludzi z zastrzykami cementu w głuchodźwięcznych miejscach pęknięć. Pamiętam też takich, którzy wybrali najchłodniejszą formę dumy — milczenie; i dziś szczerą się tym, że wtedy nie istnieli.

Weymont umiał sobie wyjednać rodzaj eksterytorialności. Niepostrzeżenie uzyskiwał jak gdyby specjalną koncesję w zakresie konfliktów wewnętrznych, pedanci opasali go banderolą i umieścili w osobnym segregatorze. Głośny dialog z samym sobą prowadził niemal oficjalnie. Potrafił zresztą we właściwym momencie zawiesić głos. Milki. Wybaczano mu to. Był nierówny. W swoim mistrzostwie osiągnął to, czego nie zdobył nikt inny: uznanie „zachodniego stolu” w café „Ali Baba” i czuła żywotność sekciarzy. Jedni i drudzy byli pewni, że odnajdzie ich prawdę. Jedni i drudzy dali się zwieść, gdyż Weymont nie szukał prawdy, tylko autorytetu. Przypuszczam, że nie był cynikiem — to jego życiorys był cyniczny. Jak wielu ludzi w tych czasach, nie mógł się obejść bez żyrantów swojego sumienia.

3

Pojęcie talentu uchodzi za nieuchwytną, tajemniczą. Ma nawet swoich osobistych wrogów (któż nie ma osobistych wrogów?), dla których „talent” jest czymś niebywale wstydliwym i w przyzwoitej rozmowie lepiej zastąpić go bociąnem. Interesowało mnie od dawna wnętrze moralne talentu, czyli to, co jest w nim obowiązkiem. Nie ludzie się do talentu należy się wyliczyć, chociaż w ciężkich, spracowanych rękach. Ci, którym się to udało, byli podobni raczej do wolnych robotników niż elfów. Tę zdolność trudnego tworzenia, ten skarb uwiązany do

szy posiadał na przykład Chowaniec. Ryje od tat kamień i drzewo, i wiem że dygoce ze strachu tylko na jedną myśl: Chowaniec boi się dostać „gładkiej ręki”. Nie wiem dokładnie, co to znaczy; tłumaczył mi kiedyś: wyobraź sobie straszny platfus dłoni i pomnóż go przez sto! Pochodził spod Krośnice i jeszcze dziś chowa do worka, w kacie strychu, niezjedzony chleb. Weymont bał się inaczej i czego innego. Dręczyło go widmo anonimowości, lek, że jego indywidualny ślad zostanie zdeptany przez wielkie ślady pochodzą. Nie chciał być w tłumie podobnych, nienawidził szeregu, szereg nie ma twarzy. Miał swój zły sen, o którym mi kiedyś opowiadał: długa ulica. Szedł długą ulicą i nikt go nie poznawał. Po ulicy chodziły konie, nie było człowieka. Szedł i rozpaczal szukał ludzkiego spojrzenia. Konie nie pa-

trzyły na niego, machały smutnymi łbami. Kłękł na długiej ulicy, żeby się pomodlić o człowieka. I wtedy okazywało się, że on także jest koniem. Koniem kłęzącym na długiej ulicy. Po nocy ze złym snem przychodził do „Ali Bababy”. Nie śniadł przy „zachodnim stole”, wybierał osobne miejsce, siedział sam. Czuł wtedy na sobie spojrzenia, po ruchu ust poznawał, że wymawiają jego nazwisko. Strach z niego powoli parował, ładne snobki grały go oczami. „Ali Baba” także przeżywa swoje chwile nudy: około 2-giej przy „zachodnim stole” obgadywano już dzieci i psy znajomych. Weymont stanowił tu atrakcję choćby przez to, że nie był w co dzień. Wychodził uspokojony. Wieczorem Lola Berg opowiadała na mieście, że dziś w „Ali Babie” był Weymont: Cudowny artysta, potrzęsano głowami. No ba! — obu-

rzała się Lola — i ty mnie to tłumaczysz!

Ale w imię ścisłości: byłoby niesłuszne twierdzić, że aromat jego nazwiska parzono w barach kawowych. W 1943 krążyło po Warszawie „Twarze przyjaciół i wrogów”. Bezimiennie siepie ukazywały przeszłe, młodziutkie głowy dziewcząt i chłopców z warszawskich ulic, ledwie rozkwitłe paki konsolacji; inne stworzyły równoległy cykl: zandarmi, podpalane owczarki alzackie, volksdeutsche w ogonku u „Meinla”, nocna sztrafja w getcie... Julka S., córka moich sąsiadów na Solcu (niedaleko wiaduktów, dom nr 103) nosiła w medalionie na piersi jedną z odbitek: „profil ucznia zastrzelonego przed Pocztą Główną”. Zastrzelili ją przed Ratusem w rok później. „Robiłem te siepie — opowiadał mi Weymont po wojnie — jak wariat, pod bo-

kiem Niemców. Szkłowałem w „Café Aktorów”. Ewie drżały ręce. Kiedy nosiła tacę koło mojego stołu, kieliżki dzwoniły jak w kościele”. Tuż przed desantem Anglosasów „Times” wydrukował artykuł o polskim ruchu oporu; kilka „Twarzy przyjaciół i wrogów” zamieszczono jako ilustrację, bez nazwiska artysty. Całość ukazała się w „Tece wojennej” Weymonta już po Wyzwoleniu.

W „Kawiarni Aktorów” pracowała wtedy Ewa Olborska i tam Weymont ją poznał. Fabrykanci marmelady lubili siadać w jej rewirze, to było w dobrym stylu otrzymać mojkę z rąk Fedry. Pamiętali ją w tej roli spóźnionej wojny, grała do końca ostatniego sezonu. Jej niski, nieco ochrypły głos oszalałami bywałców. Po wojnie nie wróciła już na scenę. Był to jeden z owych wypadków całkowitego ofiarowania się mężczyźnie. Nie potrafiłaby oddać grać nikogo prócz siebie: straciła elastyczność przeżyć, bez której aktor nie może istnieć. Małżeństwo z Weymontem spożyło jej talent; nie widziałem kobiety tak obezwładnionej, tak porażonej miłością. „To nie jest miłość, to paraliż” wołała często Lola Berg. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz po wojnie odwiedziłem Weymontów (mieszkał wtemczas jeszcze w willi Olborskich w Zalesiu), zrobiło to na mnie wrażenie. Nic jej nie pozostało: straciła posępną dumę, tę swoją chmurę nieobecności sprawującą, że każdy w jej pobliżu musiał za nią tęsknić. Siedziała teraz, wpatrzona w Weymonta, z wiecznym niepokojem w kącikach podczernionych oczu, z uśmiechem komentującym z góry każde jego zbyt skromne mniemanie o sobie. „To znaczy zdobyć ko-bietę!” przeszło mi wtedy przez myśl.

Od jednej z późniejszych kobiet Weymonta słyszałem, że czuł się winny tej eksploatacji. Tyle nie chciał, za dużo jej zabrał. Cierpiał kiedyś przez nią i w okresie gdy podawała u „Aktorów”, podobno dręczył ją zazdrość. Po latach przylapał się na tym, że swoją słabą miłością, usiłując ożywić fikcyjnym bólem: odtwarzał stare klisze cierpienia, ponawiał w sobie wygasłą, zettatą zazdrość, chcąc w ten sposób uzyskać reprodukcję dawnego uczucia. Kobiety, którym to opowiadał, nie mogły tego pojąć. „Od trzech lat z nią nie sypia — wrzuciła ramionami — to nie jest rzecz do reprodukcji”. Kobiety nie odczuwają wstydu skończonej miłości i poczuć winy w tych sprawach jest im obce.

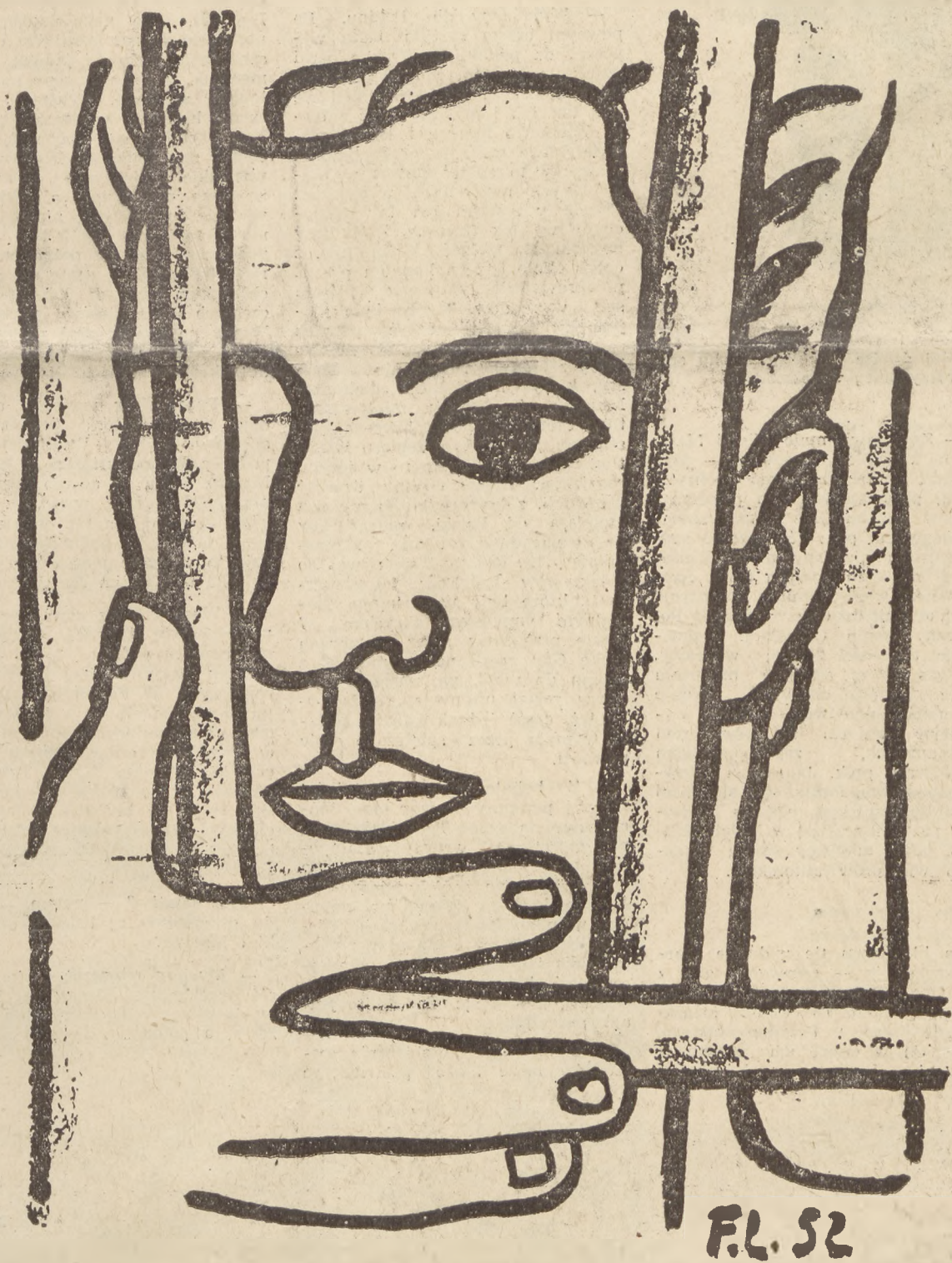
Willi Olborskich w Zalesiu była jednym z miejsc w kraju, które błyszczały jak latarnie morskie ośnied okupacyjnej nocy. W „Tatiane” ocaliło życie kilka rodzin żydowskich; dziesiątki pisarzy, dziuraczy i księży znajdowało tu nocleg w dniach brania zakładników. W niedziele jeździło się do Warszawy na poranki autorskie do „Tatiany”, lub recitale szopienowskie, albo po prostu po to, żeby zobaczyć, czy ojciec Ewy nadal nosi swój złoty fularowy krawat, i opowiadać po powrocie, że dziekan Cezary Olborski wciąż nosi swój złoty fularowy krawat i pracuje nad projektem przyszłego Dworca Centralnego, który po wojnie zbudują Amerykanów. „Tatiana” była otoczona ogrodem, treche już zaniedbanym, o starych drzewach, których galezie sięgały okien Chowaniec, gdy pierwszy raz go tam zawiozłem, mruknął na widok ganku z kolumnadą: „Ty, a psam nie poszczują?”

W raptownym uczuciu Weymonta musiało i to odegrać pewną rolę. Nie, nie kariera i nie moda (sam przecież napisał w liście do Radwana: „Chciałbym powieścić na starość, że mody miały mi między nogami!”); ale ten człowiek lubił stać w skrzyżowaniu światła, potrzebne mu były wielkie lampy z żwenzną, dopiero w ich blasku wyraźnie się widział.

Potem oczywiście posadzano go o wyrachowanie. Potem, to znaczy wstecz, kiedy sam obwieścił swój końcowy wynik, dając każdemu według jego miary możliwość wszelkich rozważań. I tak się też stało. Uczynił z niego konstrukcję wyobrażeń, każdy na swoje podobieństwo, nie wyłączając Loli Berg, która wierzyła tylko w miłość i w całej historii widziała sprawkę „tamtej kobiety” z Rio. Nawiasem mówiąc okazało się, że pośredniczywa w korespondencji między nią a Weymontem. „Jestem stara kuleńka!” — jęczała przede mną, rozmarując chusteczką szlankę wokół oczu — czy mogłam mieć pojęcie? Wsadźcie mi! Po 70 latach zasłużyłam sobie na to. Zagraniczne znaczki dawno swemu siostrzeńcowi, który był filatelista.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

L É G E R



„Les Lettres Françaises” w numerze poświęconym zmarłemu niedawno Fernandowi Léger zamieściły wypowiedź Majakowskiego opublikowaną swego czasu w „Izwestiach”.

Léger, malarz, o którym renomowani znawcy sztuki mówią z pewną wyższością, zrobił na mnie największe i najmilsze wrażenie. Stoi on na twardym gruncie i ma postawę prawdziwego malarza robotniczego, który uważa swą pracę nie za dane przez Boga polecenie, ale za pasjonującą i niezbędną rzemiosło życia. Przyglądam się uważnie temu szczególnemu malarstwu. Ta estetyka form przemysłowych daje zadowolenie. Daje zadowolenie ten brak jakiegokolwiek lęku przed najbrutalniejszym realizmem. Napawa zdumieniem postawa wobec pra-

cy o której mówi kolor, a która nie przypomina wcale postawy malarzy francuskich: uznanie pracy nie za sposób wyrażenia jakiegos nastroju, ale za samo tworzywo nadające swą barwę przedmiotom. W jego stosunku do rewolucji rosyjskiej zaznacza się ten sam brak estetyzowania — jest to postawa wyrażająca głębokie zainteresowanie. Przecież jest stwierdzić, że nie wysuwa on na plan pierwszy swego warsztatu, że nie próbuje, bardzo artystycznie, sypać jak piaskiem w oczy, swym rewolucjonizmem, ale odsuwać na bok malarstwo, stawiając sprawę rewolucji rosyjskiej i życia rosyjskiego. Jest rzeczą jasną, że jego entuzjazm dla rewolucji rosyjskiej, to nie poza, lecz zainteresowanie człowieka,

który pragnie zdać sobie sprawę z tego jak to wszystko funkcjonuje. O wiele bardziej, aniżeli sprawa tego gdzie i jak po przyjeździe do Rosji mogłyby urządzić wystawę, interesuje go zagadnienie praktyczne związane z podłożem: jak miałby zastosować swoją wiedzę w ogólnej przebudowie Rosji.

Zaledwie powiedziałem, że jego malarstwo mogłoby zainteresować moich towarzyszy, a już widziałem przed sobą nie malarza kupca, który drży o swe skarby, ale po prostu człowieka, który mówił:

— Biercie wszystko. Jeżeli coś nie przejdzie przez drzwi, to spuszczać wam przez okno... D o s w i d a n i a... nauczyli się tego rosyjskiego pożegnania.

Włodzimierz Majakowski

(Dalszy ciąg na str. 4)

WIELKI MARSZ

Zegnaliśmy ich przed ośmioma miesiącami w mroźny, zimowy poranek. Zebrało się grono przyjaciół przed zielonym wagonem sypialnym, na którym tablica ogłaszała trasę: Warszawa — Moskwa. Już bagaże zostały zapakowane, a było ich sporo — ekwipunek nie było jakichś turystów, mających w zamierzeniu drogę na Tybet, gdy na peronie pojawili się chińscy wojskowi. To płk. Li Fan przyszedł w imieniu Ambasady pożegnać pisarzy polskich, którzy wybierali się szlakiem Wielkiego Marszu.

Mówił Wojciech Zukrowski:

— W czasie mojego pobytu w Chinach poznałem w Pekinie gen. Li Czaopina. Z uwagą słuchał moich wrażeń z Wietnamu i w od-

warunkach przeszła dwanaście i pół tysiąca kilometrów pieszo. Przebywała wozbrane rzeki bez mostów pod ostrzałem przeciwnika, przebywała góry Tybetu przełęczami o pięciu tysiącach metrów wysokości, maszerowała olbrzymim bezwodnym stepem. Gen. Li był w tym okresie jednym z komisarzy pułkowych w dywizji noszącej nazwę „Złotej Gwiazdy”, był jednym z tych osiemnastu tysięcy, którzy ostatecznie przetrwali. Ten wielki wysiłek nie poszedł na marne — widząc poświęcenie, hart i siłę Armii Czerwonej — siłę, której można zawierzyć — cały naród podjął walkę z okupantem, jaką zapoczątkowała partia komunistyczna. Wówczas pod naciskiem opinii publicznej, jak i swoich żołnierzy nawet Czaung Kai-szek był zmuszony wystąpić przeciw Japończykom.

wyspie” przynosił historię walk o przybrzeżne wyspy. „W tej książce nie ma zmyślonych historii. Rostała ona dzień po dniu w czasie rozmów autorów z dowódcami desantu na wyspę I-dzian-san, ze spotkań z lotnikami i rejsów po Chińskim Morzu”. Ten fragment przedmowy nie wyjaśnia w pełni historii powstania tej książki. A było tak:

— Trasa, jaką mieliśmy pojechać, trasa Wielkiego Marszu była trudna i trzeba było zorganizować bazy zaopatrzeniowe. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że od linii kolejowych trasa ta miała przebiegać czasem w odległości od pięciuset do trzech tysięcy kilometrów, a kilkadziesiąt kilometrów od najbliższych dróg bitych, to jasne się stanie, że przygotowanie do wyprawy zajęło sporo czasu. Zajmował się nim Główny Zarząd Polityczny Armii Chińskiej, my zaś siedzieliśmy w dokumentach z tamtego okresu lub w Pekinie rozmawialiśmy z niewielkimi mieszkańcami tam uczestnikami Wielkiego Marszu. W tym czasie śledziliśmy w prasie przebieg działań na froncie czeskim. Zdecydowaliśmy się szybko. Poprosiliśmy o możliwość udania się na front jako korespondenci. Ułatwiono nam to i znaleźliśmy się nad morzem Chińskim, przebywając czterysta kilometrów lazikiem przez trzy łańcuchy górskie. Na ściegach torpedowych dostaliśmy się na I-dzian-san, a potem wraz z pierwszymi oddziałami zajmującymi wyspę — na Taczen. Rozmawialiśmy z żołnierzami bezpośrednio po bitwie, widzieliśmy pejsa zniszczenia, bowiem wojska Czaung Kai-szeka, odchodząc starały się wszystko spalić. Początkowo myśleliśmy o reportażach. Z opowiadań żołnierzy narodziła jednak książka. Przesłaliśmy ją szybko do kraju, ukaże się ona niebawem w tłumaczeniu rosyjskim, a także po chińsku. „Desant na kamiennej wyspie” opublikowała w odcinku „Obrona ludu”, w chwili obecnej drukuje się w Czechosłowacji pierwsze wydanie tej książki.

— Wróciliśmy do Pekinu. Po pewnym czasie ruszyła nasza wyprawa na południe. Wraz z nami pojechała bowiem cała ekipa chińskich pisarzy i artystów, mieli się oni, tak jak i my, zapoznać z trasą Wielkiego Marszu i zebrać materiały. Nie takie to proste jednak jakżeśmy to sobie nawet w najśmielszych marzeniach wyobrażali. Przede wszystkim był to niesłychany wysiłek fizyczny. Zrobiliśmy bowiem 22 tysiące kilometrów, z czego około tysiąca konno i pieszo, przeprowadziliśmy ponad półtora setki wywiadów. Trzeba było niejednokrotnie tłumaczyć poprzez cztery języki. I tak np. rozmawialiśmy z jednym z uczestników Marszu, który należał do plemienia Min-dzia. Z dialektu miejscowego tłumaczono na południowo-chiński, stąd na pekński, a dopiero wtedy tłumacz podawał nam to w języku rosyjskim. Przejechaliśmy dziesięć prowincji, z których każda nie jest mniejsza od Polski, natrafiliśmy na ulewne deszcze i kurz tak przenikający, że dostawał się nawet do obiektywów aparatów fotograficznych, które były uszczelnione specjalnym gumowym okryciem. W czasie przeprawy przez wozbraną rzekę Gan spadł nam samochód z promu do rzeki, na szczęście kierowca został uratowany, ciężarówka też, część jednak bagażu została wymyta przez spiętrzone fale powodzi.

— Z bohaterów uczestników słynnej przeprawy przez most łańcuchowy na rzecę Tatu, dokonanej pod ostrzałem wroga zostało osiemnastu ludzi. Dziś żyje tylko dwóch. Jednego z nich poznaaliśmy. Jest to dowódca dywizji na południu w niedostępnych górach. Zaprosiliśmy go do siebie przy pomocy radia i spotkaliśmy się w miejscowości, którą nam i jemu było najłatwiej osiągnąć. Trwało to jednak parę dni.

— O trudnościach zbierania materiałów może także poświadczyć

następujący fakt. Aby znaleźć Li Tyna, jednego z bohaterów Wielkiego Marszu, zrobiliśmy trzysta kilometrów w górach Cin Gan-San. Był on kiedyś w partyzantce niezorganizowanej, nim połączył się z oddziałami Mao Tse-tunga. Wstąpił się tym, że zabił drzewcem sztabarę dowódcę kuomintangowskiego, o którym krążyły wieści, że nie mają go się kule. Nosił on bowiem koszulkę stalową. Li Tyn spotkawszy go wbił mu drzewce sztabarę w brzuch poniżej kuszki, głowę zaś obciął i przyniósł do oddziału celem zidentyfikowania jej.

— Widzieliśmy Himalaje. Byliśmy bowiem niespełna cztery dni jazdy samochodem do Lhasy, każdy krok był męczarnią z powodu rozrzedzonego powietrza, każdy krok stanowił niesłychany wysiłek. Na przełęczy kwitły azalie, poniżej padał śnieg, a po dwóch godzinach jazdy męczył nas już uciążliwy dochodzący do czterdziestu stopni.

— Osiągnęliśmy także pogranicze Burmy, kraj wulkanów. Brak tam zimnej wody, bowiem źródła są gorące i wodę do podlewania warzyw czy też do picia trzeba studiować.

— Niebezpieczeństwa czyhały na nas na każdym kroku. Pewnego dnia, gdy jechaliśmy konno górska droga w Tybecie, nagle osunęło się wzgórze i na drogę padły świerki. Konie przyzwyczajone do takich przypadków uwiozły nas z tego miejsca szczęśliwie.

— Sposoby zdobywania wiadomości były różnorodne. Niejednokrotnie wypadało nam pozostawić całą ekipę i udać się w parę osób do miejscowości, niedostępnej dla samochodów czy koni. Przeprowadzaliśmy się zazwyczaj poprzez rwące rzeki po linach bambusowych, nad piętnastometrową przepaścią. Każdy ruch musiał być starannie przemyślany, inaczej groził katastrofą.

— Szliśmy stepem na wysokości prawie czterech tysięcy metrów. Ludność, jaką napotykalismy, odnosiła się do nas życzliwie, a nawet serdecznie, było to jednak o tyle męczące, że towarzyszone nam dosłownie wszędzie. Byliśmy pierwszymi białymi w tych stronach. Każdy chciał nas zobaczyć, każdy chciał nas dotknąć. Poznawaliśmy wszystkie miejscowe potrawy o nazwach poetyckich, a także dziwacznie brzmiących, nie widzieliśmy ziemiaków ani też chleba, podstawą naszego pożywienia był ryż. Nocowaliśmy gdzie się dało, w chłopskich chatkach lub pomieszczeniach komitetów partyjnych. Wtedy na naszą cześć zdejmowano drzwi z zawiasów i ustawiano na kobyłkach; służyło to nam za łóżka.

— Porobiliśmy mnóstwo notatek oraz ponad półtora tysiąca zdjęć dokumentarnych. Rezultatem tej podróży będzie książka o Wielkim Marszu. Złożą się na nią opowiadania, bądź pisane wspólnie; bądź przez każdego z nas z osobna. Musimy przy tym podkreślić, że będzie to w ogóle pierwsza obszerna książka o Wielkim Marszu.

— Wysiłek nasz został oceniony przez Armię Chińską. Otrzymałmy bowiem order „Naród — obrońcom ojczyzny” jako pierwsi Europejczycy. W dokumencie uzasadniono przyznanie nam tego odznaczenia następującymi słowami: „Nadajemy Wam order, którym naród chiński odznacza swych żołnierzy, oficerów i generałów za bohaterские czyny w bitwach. Otrzymujecie go za Waszą ofiarną pracę nad badaniem historii Chińskiej Armii Ludowej”.

— A książka? — pytam. — Kiedy otrzymamy tę książkę o Wielkim Marszu?

— Musimy odpocząć. Taka podróż wyczerpuje fizycznie. Potem musimy uporządkować nasze wrażenia, a potem... zasiąść do pracy.

MAKSYM TANK

Kłębi się w polu...

Kłębi się w polu kurzu chmara.
Kto tam jedzie?
Patrzy na drogę matka stara.
Kto tam jedzie?

Kozak i koń — od kurzu białe.
Kto tam jedzie?
I raptem serce rozpoznało,
Kto tam jedzie.

Na trakt wybiegła w jednej chwili.
Kto tam jedzie?
Czy serce matki się pomyli —
Kto tam jedzie!

Przełożył Leopold Lewin

1948



Zukrowski i Przymanowski na tybetańskiej drodze. Przełęcz Ce ku san, 5000 m. wysokości, mimo lipca prószny śnieg z deszczem.

powiedzi, uśmiechając się znacząco, zaczął mi opowiadać o Wielkim Marszu, którego był uczestnikiem.

Chińska Armia Czerwona w okresie między powstaniem nanczańskim z 1 sierpnia 1927 r., a datą jej oficjalnego uformowania się w górach Cin-gan-san (4 maja 1928 r.), składała się zaledwie z kilku tysięcy ludzi. Dzięki temu jednak, że cieszyła się zaufaniem i poparciem ludu, Kuomintang nie mógł jej zniszczyć, natomiast z każdym dniem przybywało jej ochotników. Na początku 1932 roku Armia Czerwona była już wielką potęgą i Czaung Kai-szek powiedział: „Jeżeli nie zostanie zniszczona, nie będę mógł zamknąć oczu nawet po śmierci”. Wszędzie jednak jego wyprawy skończyły się niepowodzeniem, mimo że liczebność oddziałów Kuomintangu doszła w piątej operacji do miliona wojsk, zaś na czele stanęli tacy fachowcy jak gen. von Seeckt, jeden z współtwórców Reichswehry. Taktyka „niszczenia” polegała na tym, że wojska czaung-kai-szekowskie otoczyły okręgi radzieckie trwałymi umocnieniami, zacieśniając je z czasem i stosowały ponadto blokadę głodową. Dywizje Armii Czerwonej wylamały się z tych „kołców”, staczając zwycięskie bitwy bez broni maszynowej, armat i samolotów, a w najgorszym wypadku zdobywając je na przeciwniku.

W 1934 r., w latach japońskiej okupacji północnych Chin, Armia Czerwona liczyła już kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zaś władza radziecka istniała w wielu prowincjach. W Cziangsi znajdował się wtedy tymczasowy chiński rząd radziecki. Widząc narastające oburzenie społeczeństwa przeciwko okupantom japońskim i dwuznaczną politykę reakcji, kierownictwo partii komunistycznej decydowało się na wielki marsz na północ — w stronę wroga. Dwieście tysięcy żołnierzy wyszło wtedy z prowincji Cziangsi — do Jenanu doszło tylko osiemnaście tysięcy, stając się po drodze sto wielkich i zwycięskich bitew z miejscowymi militarystami oraz wojskami Kuomintangu. Działania Armii Czerwonej nie ograniczały się do militarnych celów tej akcji, przeciwnie — jej głównym zadaniem było agitowanie na rzecz jak najszerzej pojętego frontu antyfaszystowskiego. Prowadzono więc robotę polityczną, uświadamiającą wśród ludności tych dziesięciu prowincji przez które przechodzono, jak też i wśród mniejszości narodowych. Ten marsz zamienił się w wielką epopeję, nieznaną w historii ludzkości. Armia Czerwona w niezwykłe ciężkich i niesprzyjających

— Zaciekawiał mnie Wielki Marsz — mówił całej Zukrowski — jako wyraz bezprzykładnego bohaterstwa, porównując swym patosem i jakimś bliskim nam romantyzmem. Zaprzagnąłem pokazać naszemu społeczeństwu nieznaną mu zupełnie okres narodzin nowych Chin. Skorzystałem więc chętnie z propozycji, jaką uczynił mi Główny Zarząd Polityczny Armii Chińskiej. Przewidując trudności takiej wyprawy, podczas której zebranie materiału przez jednego człowieka wydaje się niepodobiestwem, a także wyciągając wnioski z doświadczeń wietnamskich, zaproponowałem współpracę ppłk. Januszowi Przymanowskiemu. Poznaaliśmy się bliżej i zaprzyjaźniliśmy podczas wyjazdów na Opolszczyznę w latach 1952-1953, gdzie mieliśmy szereg wspólnych wieczorów autorskich.

Na błękitnym tle widnieje czarny zarys gór — czerwony grót z pięcioma złotymi gwiazdami sięga ku tym górcom. To okładka książki Zukrowskiego i Przymanowskiego, powstała w czasie ich pobytu w Chinach. „Desant na kamiennej



Dolina grobów, gdzie w ciągu stułeci pochowano miliony zmarłych — prowincja Junan



Żołnierz

A. Łaptiew

Znałem Romana Pazińskiego

Szanowny Towarzyszu Redaktorze! Otrzymałem list z dalekiego Altajskiego Kraju. Już sam adres był niecodzienny: „Polska — Józef Hen — pisarz”. Nasza poczta bardzo przemyślnie dostarczyła list Związkowi Literatów, a stąd już krótka droga do adresata. (Poczuć — dzięki!).

I list jest dość niezwykły. Poznałam go sobie opublikować, bo sądzę, że pamięć, którą 14-letni radziecki chłopak zachował o polskim komunizmie, nie jest obojętna naszemu czytelnikowi. List ten przynosi mało znane fakty z życia Romana Pazińskiego. A jednocześnie — jakże charakterystyczna jest owa droga życiowa jego ucznia!

Józef Hen

Szanowny Towarzyszu Hen! Dopiero co przeczytałem Wasze świetne opowiadanie „Zrenice jego oczu” umieszczone w piśmie „Ogoniok”. W opowiadaniu tym spotkałem nazwisko Romana Pazińskiego. Pisze, że zginął pod Lenino. Czy nie moglibyście mi odpowiedzieć czy Roman Paziński jest tym samym człowiekiem, którego znałem w Taszkencie i który był moim pierwszym nauczycielem rzemiosła tokarskiego w fabryce „Kommunar” na początku Wojny Ojczyźnianej (to było przypuszczalnie na początku 1942 roku).

Pracowałem już jako samodzielny tokarz, kiedy doszła do mnie smutna wiadomość o tym, że ten niezwykły człowiek, rzemieślnik — artysta, Polak Roman Paziński, zginął w walce z hitlerowskim najeźdźcą.

Pamiętam jak do fabryki przyszła płacząc jego żona i jak długo, długo patrzyła na tokarski warsztat, na którym pracował jej poległy mąż.

Potem opowiadano, że zgłosiła się jako ochotnik na front i także zginęła. Nie wiem, ile było w tym prawdy.

Być może nazwisko to w Waszym opowiadaniu jest tylko przypadkowo zgodne z realnym faktem, jaki wydarzył się w życiu, ale ja bardzo się wzruszyłem czytając nazwisko człowieka, którego zapamiętałem jako tego, który z całej duszy nie-

I jeszcze jedna sprawa: po przeczytaniu listu tow. Sjomuszkina jeszcze raz pomyślałem, nie bez trudu, o odpowiedzialności pisarza za słowo. Pomyśleć, że to, co się pisze za warszawskim biurkiem — dociera aż na Altaj! To oczywiście zachwycające — ale o ileż zwiększa ładunek odpowiedzialności, która i tak jest niemała. Nieznani ludzie, nieznaną kraj — i nagle jeden numer „Ogonka”, jedno r z e c z y w i s t e nazwisko (rzucane może niedbale) i znartwychwstają dramaty, ludzie zaczynają się nawoływać i wyciągać do siebie ręce...

* *

nawidził faszystów i poległ w walce z nimi.

Pamiętam go także jako człowieka o kryształowej uczciwości i wielkiej duszy. Roman Paziński, mój pierwszy nauczyciel, był Człowiekiem przez wielkie C.

O sobie mogę napisać tyle: pracowałem we wspomnianej fabryce do 1945 r. Potem zacząłem się uczyć. Następnie znów pracowałem i równocześnie uczyłem się. W zeszłym roku ukończyłem Leningradzki Instytut. Obecnie jestem inżynierem-mechanikiem.

W marcu bieżącego roku razem z rodziną przyjechaliśmy na Altaj na zagospodarowanie odłogów i nieżytków. Mam dwoje dzieci — córkę i syna. Kiedy dorosną i zrozumią abecadło życia, będę im opowiadał o tych ciężkich i gorących czasach, kiedy spotkały się siły ciemności i światła i kiedy w uporczywej walce, ponosząc olbrzymie ofiary, zwyciężyły siły jasności.

Jednym z bojowników tej wielkiej Armii był Polak, Roman Paziński. Światłany człowiek.

Towarzyszu Hen! Proszę o ile możności odpowiedzieć na moje pytanie, zawarte na początku tego listu. Próż tego nawiązać mi czy wysłała w rosyjskim tłumaczeniu Wasza książka „Kijów — Taszkent — Berlin”.

Z komunistycznym pozdrowieniem
Władimir Aleksandrowicz
Sjomuszkina
ur. 1923 r.

19.8.1958

JANINA PREGER

ZA WŁADZĘ RAD

Ostatnio ukazała się w przekładzie polskim nieznaną u nas jeszcze powieść autora „Samotnego białego żagla” Walentina Katajewa: „Za władzę Rad”^{*}).

Powieść należy do książek o ostatniej wojnie. Ujęcie jej jednak różni się od tego, co zwykliśmy spotykać w literaturze wojennej i co cechuje w większości nasze powieści okupacyjne. Celem Katajewa nie było sonowanie głębin „nocy” okupacyjnej, nie było zobrazowanie okrucieństwa i barbarzyństwa, które zaciążyły nad tym czasem. U Katajewa, jak i w dużej części beletrystyki radzieckiej o ostatniej wojnie, dominuje czynna strona sprawy: nie doznawanie klęsk i cierpień, lecz poczucie siły mimo całej trudności i niebezpieczeństwa sytuacji. Toteż powieść o tej aktywnej stronie sprawy nosi zupełnie inny charakter, ma inne zabarwienie niż poszukiwania w „płwnicach duszy”, do jakich schodził nieraz człowiek w ostatniej wojnie. Sam przebieg wypadków historycznych na terenie Związku Radzieckiego dawał pisarzom fundament uczuciowy do tworzenia sztuki wyrażającej więcej poczucia siły, niż literatura ich okupowanych sąsiadów. Naród radziecki zarobił na to swoją walką, że jego literatura wojenna niesie światło, nie ciemność klęski.

„Za władzę Rad” należy właśnie do utworów czerpiących z piękna charakteru ludzkiego, jakie przejawiało się w tych najroźniejszych obywatelach radzieckich — partyjnych i bezpartyjnych, w siłę wieku i starców, dzieci, kolchozników, robotników i inteligentów, żołnierzy i matek rodzin — którzy stanęli do walki przeciw faszyzmowi. Ponieważ to było punktem wyjścia powieściopisarza, więc i książka jego daleka jest od aury przygnębienia. Autor tak żywo sympatyzuje z człowiekiem, tak lubi różnorodnych przedstawicieli genus humanum — znających z tej samej ulicy albo z tego samego miasta, a szczególnie „ludzi w wieku szkolnym” — że pogodna, dobra sympatia zabarwia całą powieść.

Tematem książki jest życie partyzantów z Odessy, prowadzących swoją działalność z ukrycia, z podziemskich katakumb. (Tajemnice pieczar to znany już nam z twórczości Katajewa ulubiony motyw tego pisarza, tak trafiającego w zainteresowania młodzieży). Przewodnikami czytelnika w perypetiach walki podziemnej jest para młodych bohaterów: dwunastoletni Pietia Baczej z moskiewskiej szkoły i czternastoletnia Wala z rybacczego kolchozu pod Odessą.

Pamiętamy jeszcze z „Samotnego białego żagla” jak doskonale portretuje Katajew swoich bohaterów dziecięcych. Z podobnym wdziękiem narysowany jest mały bohater powieści „Za władzę Rad”. Piękne są początkowe rozdziały, opisujące ostatnie wakacje przedwojenne Pieti z ojcem, pierwszą podróż chłopca samotem i lato nad Morzem Czarnym. Katajew umie podpatrywać i podsłuchiwać swoich niedorośliwych bohaterów. Zna ich egzaltowane marzenie o pogróżkach przygodach i walecznych czynach w egzotycznym świecie, wspinał się odtwarzanie ich sposób rozumowania i rozmowy. Bawi nas humo-

rystycznymi obserwacjami i wzrusza świeżością, romantyzmem i zdobywcą ciekawością świata, wypielniącą dziecinne dusze. Mały Pietia Baczej na pierwszych kartach „Za władzę Rad” nie ustępuje we wdzięku zarysów swojemu imiennikowi ze znakomitego „Samotnego żagla”.

Autor zresztą świadomie nawiązuje do tamtej powieści, która zapewne pozostała mu do dziś bardzo bliska uczuciowo (jak i jej czytelnikom). Toteż szeregiem nawiązań usiłuje przywołać tamte obrazy i kontynuować ową atmosferę, tak pełną poezji. Rodzicami bohaterów obecnej powieści są postacie z „Żagla”. Duży Pietia Baczej jest ojcem małego Pieti — „wiceprzewodniczącego kółka przyrodników” szkół moskiewskich, Mo-

życia rodzinnego. Trafność obserwacji, ich inteligencja i humor służą mu niezawodnie przy tworzeniu szlachetnych a nieporadnych, „latusiowatych” postaci ludzi z duszą ciągle młodszą od lat, choć w kostiumie „z myszką”, prowincjałów, ludzi z pokolenia przyjaciół rodziców i nauczycieli. Te obrazy rodzinne, wewnętrzne, scenki w mieszkaniu moskiewskiego prawnika lub na „wilegiaturze” odeskiego buchaltera — są nakreślone z ujmującą lekkością póra i realizmem. Portrety „zwyčajnego człowieka”, np. w początkowej części „Za władzę Rad” tatuś Baczej, jego przyjaciel Koleśniczuk, są specjalnością Katajewa. Jednakże u niego ten zwyczajny człowiek nie jest szarym człowiekiem. Ten zwyczajny człowiek interesuje pisarza i staje się

czuciem autora. Np. przejmujący obrazek opuszczonej, wydanej wrogom ulicy odeskiej z jej ludźmi.

W miłości do rosyjskiego człowieka i pejzażu rosyjskiego wyraził się patriotyzm tej książki. Szczególnie przemówi ona do młodych czytelników, którym daje akcję obfitującą w zaskoczenia, niespodzianki, tajemniczość, przygodę i napięcie.

Trzeba się jednak zastrzec, że nie wszędzie zachował autor konsekwentnie prawa kompozycyjne powieści przygód. Wskutek tego książka ma zbyt długie, opisywające dydaktyczny - opisowe (szkolenie w katakumbach), albo statyczne, oparte na cytowaniu dokumentów politycznych. Części te chybają swego celu wychowawczego, gdyż patos ideowy wydobywają nie one, lecz same sytuacje i postaci, np. takie jak tragiczna śmierć partyzantów Drużynina, Światosława i Wali. — Nasuwa się także pytanie, czy szczęśliwie połączony został typ powieści, awanturniczej z tematyką wojenną, z problematyką ideową? Trzeba powiedzieć, że to, co udało się Katajewowi w „Samotnym żaglu” — nie zostało osiągnięte w powieści „Za władzę Rad”. Jest tutaj pewna rozbieżność między ideową zawartością o dużej wadze — i między „lekką” formą. Są w książce w ogóle znaczne nierówności poziomu. Świeżość zaczęta powieść z życia „cywilnego” jest o wiele lepsza od powieści „wojennej”, w którą przekształca się z tokiem akcji. Psychologia bohaterów, postaw moralnych przedstawiana bywa z dozą schematyzmu, przy pomocy przesadnych oznak zewnętrznych, mimicznych, srogiego gniewu lub zachwyty, przy pomocy zbyt głośnych słów komentarza autorskiego. Inna rzecz, że stanowi to jeszcze dotychczas jedną z konwencji powieści dla młodzieży, Katajew zaś związany jest bardzo silnie z tym kręgiem czytelników. Z tego też gatunku powieści wynika, że nie będziemy w niej szukać tych wartości literatury dokumentarnej, tego świadectwa czasu, jakie z wielką siłą dawała nam nieraz literatura pamiętnikarska. Realia bytu partyzanckiego i całej prawdy psychologicznej żołnierzy zostały przedstawione często w sposób bezkonkretny, w autentycznych wspomnieniach partyzanckich, jak książki Wierszyhory, A. Fiodorowa, Kowpaka. Tej miary przykładów do beletrystyki partyzanckiej Katajewa nie można.

Trzeba jednak zauważyć, że książkę obecną autor przeobraził w wcześniejszej postaci powieści, którą przed kilku laty spotkały zarzuty krytyki. Przeróbka częstokroć odbarwiła narrację i usztywniła postaci. Wiele powyższych zastrzeżeń odnosi się do tych zmian.

W związku z polską formą powieści można by pragnąć staranniejszej pracy redakcyjnej nad doszlifowaniem tu i ówdzie języka solidnego skądinąd przekładu. Niemilo spotkać takie zwroty jak: „z ledwością”, „nie patrząc na nic” (w znaczeniu: bez względu na nic, str. 226). „zaprowadził zeszyt” (zamiast: złożył, str. 271). „sobą przedstawiają” (zamiast: przedstawiają lub stanowią, str. 299). „woń” zamiast „odór” (str. 255) „religianizm” (str. 271) itd.

Janina Preger

MIKOŁAJ GRIBACZOW

Ta, którą kochałem

Przebac mi wszystko co się stało

Nie z mojej winy. Przebacz srogi

Rozłąki ból i gorzyc całą

I lzy i krótkie listy z drogi.

I to że nie starczyło siły

Żeby utrzymać cię w ramionach,

Kiedy z frontami się toczyły

Miesiące, lata w obcych stronach.

Rozumna, godna, pojmiesz jasno

Że miłość ta głęboka była,

Że nas nie zdrada i nie kłamstwo

Lecz burza wieku rozłączyła.

Sercem i duszą ten sam teraz

Znowu w pogoni dni nie liczę,

I tylko serce mi zamiera

Gdy nagle z tchu twarz wycziera

Co przypomina twe oblicze.

I chociaż to są próżne chęci

Złączyć z idącym dniem dni przeszłe,

Staram się w imię twojej pamięci

O czyni w życiu coraz lepsze.

Żebyś nie mogła nigdy o tym

Pomyśleć nawet w swym sumieniu,

Żeś pomyliła się o jotę

Kładąc mi rękę na ramieniu.

Przełożył Jerzy Zagórski

tia jest matką komenderującej Pietię Wali, a i Gawrik odnalazł się w postaci „wuja Gawrika”, kierownika grupy partyzanckiej w katakumbach — i znów Odessa jest miejscem akcji. Niektóre z tych reminiscencji dały sceny niepozabawione waloru poetyckiego, chociaż nie zawsze te nawiązania potrafią rzeczywiście wskrzesić atmosferę dawnej powieści, jak chciał autor. Katajew jest doskonałym malarzem

pod jego piórem żywa, sympatyczna indywidualnością. Katajew umie w tych portretach oddać poezję postępowych tradycji inteligencji rosyjskiej.

Również atmosferę swojego miasta i okolicy potrafi Katajew odwołać do twórcy wzruszająco i poetycko. Jest w tej powieści kilka takich scenek miejskich czy szkiców pejzażu, które do czytelnika przemawiają całym zawartym w nich u-

WERONIKA TUSZNOWA

Z cyklu:
„Wiersze o szczęściu”

Gołębie

Mętny promień lśni na wrębie,
na mokrego dzbanka blasze...
Z cicha: „Gruch, gruch, gruch...” gołębie,
„szur, szur” — białe ich wachlarze.
Zadzierają głowy, wodę
rozpryskują w słońcu czystą,
wiodą w żłobie korowody
ścieżką śliską i spadziastą.
Drepcą senne, napuszone,
piersz wydawszy w kształt podkówki,
i lśnią oczy ich czerwone,
jak rzucone w śnieg borówki.
Ogród śpi w upalnej ciszy,
istna farba w niebios głębi...
— Pozwól sobie towarzyszyć,
daj mi dotknąć twych gołębi. —
Szczęście widać mi sprzyjało —
powiedziałeś: — Chcesz? nie byłaś? —
Stopnie schodów zaskrzypiały,
blacha głucho zadudniła...
Chłopcem być mi trzeba było —
chłopcu wolno wiele rzeczy...
A na dachu tak smaliło,
przez zelówki stopy piecze.
Długo żyjemy z tobą stali
(miałoby to być na jawie?),
ptaki wiodły wzwzdy spirale,
aż pod błękit niebios prawie...
Biel gołębi, ich gruchanie,
woda w dzbanie, niebo w wodzie...
A w dzieciństwie — długie trwanie
lat, a nawet krótkich godzin.
Któż to wiedział, że jak strzały
przemkną one we sto koni...
Czyż to ja — w sukience białej
i z gołąbkim białym w dłoni?

W zdroju

Na ziemię spływa skwar południa,
a droga dłuży się zdradziecko...
Gdzie artezyjska stoi studnia,
przybiega sześćdziesiętne dziecko.

Na białych, wyżłobionych płytach,
na palcach wspiawszy się, z kamienia,
wargami nieporadnie chwytając
chłód bijącego z niej strumienia.

A ten, śpieszący w gąszcz leszczyny,
dzwoniącym łukiem wzwzdy wzlatuje,
i żar spieczonych ust dziecięcy
zaledwie z lekka opryskuje.

I ja podobnie o to żyję,
i ja do zdroju rwę się w drogę.
Migocąc szczęście w twarz mi bije,
a ja wciąż napić się nie mogę!

Lustro

Zawarło wszystko w kragłej ramie
niedwulicowe jego szkło;
i cień zlepionych rzęs przez zamieć,
i mokrych włosów ciemne tło,

przejrzystą polyskliwość skóry,
owalu twarzy zmienny skład,
szczęśliwe oczy... te, na których
tyś pocałunki
świeżo kładł.

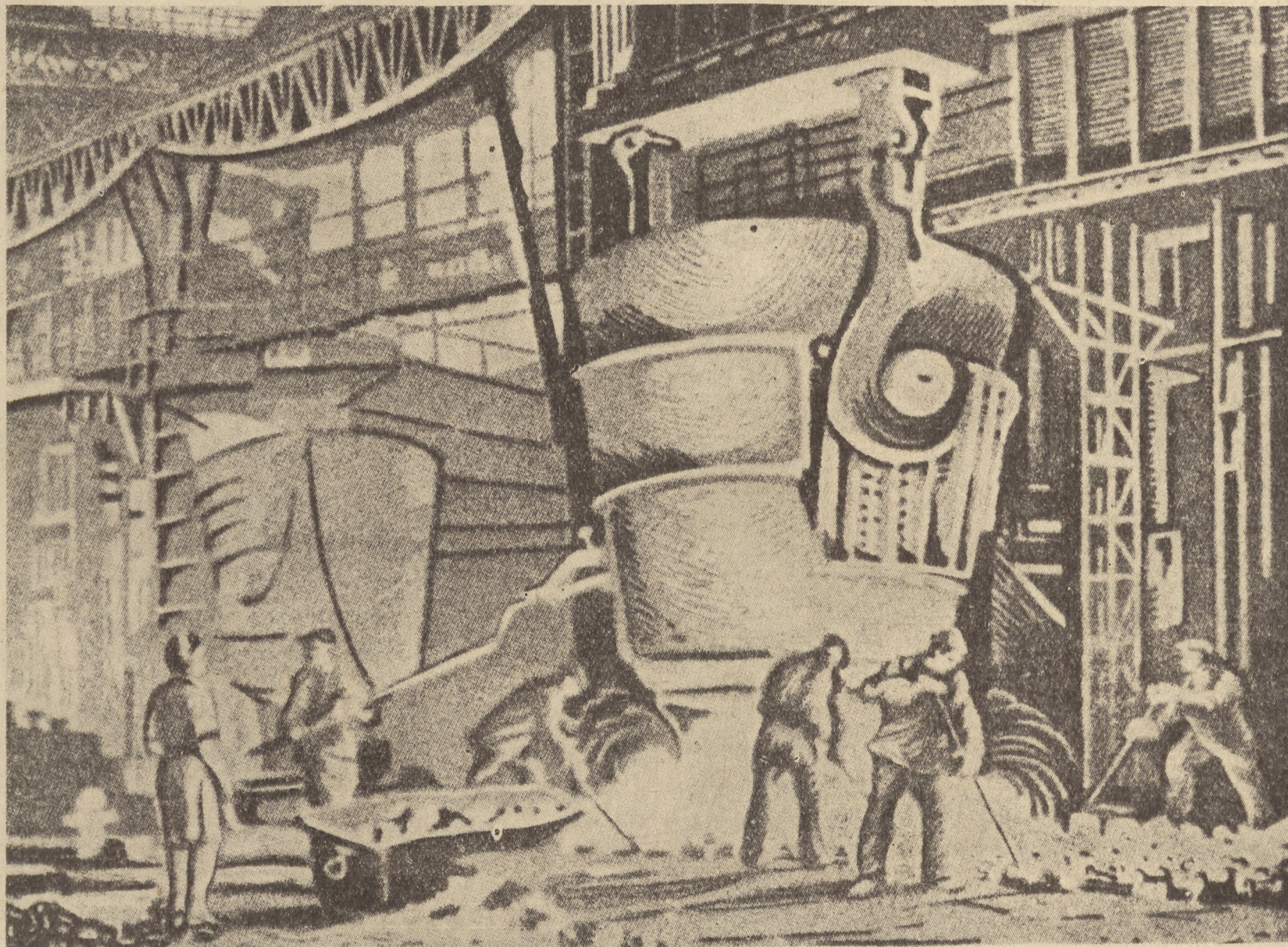
I z zachłannością rozigraną,
wdzięczności pełna tak dla szkła,
wzrok syć twoją ukochaną...
Zdziwiona,
że to jestem... ja.

*
*
*

To bicie serca — serca mego,
oddechu ciepło,
wzrok nieśmiały.
Jak mało wziąć zdołałeś z tego,
com ofiarować tobie chciała.
A jest tęsknota, jak miód słodka;
i jest czeremchy zwidłej gorycz,
i ptasich sejmów gromkie spory,
i jest obłoków przędza wiotka...
Jest szeleść trawy w dzień upalny
i belkot źródła o kamyki,
gardłowy,
nieprzetłumaczalny
na żadne znane nam języki
Jest zachód, strojny w złote szaty,
i deszcz listopadowy z nieba...

O, jakże musisz być bogaty,
że ci niczego nie potrzeba!

Przełożył Leonard Podhorski-Okołód



A. S. Paszczenko „Wytop stali”.

Z grafiki radzieckiej

VIII Festiwal Filmów Radzieckich



Stara forteca



Romeo i Julia



Żurblinowie



Na bezludnej wyspie

WŁODZIMIERZ ALEKSIEJEW

Stenogram przemówienia

Chciałbym tu
W paru słowach
Rzec,
Że praca,
Którą przedstawił nam kolega Graca,
Zadowolenia
Nie obudzi
W nikim!
Na każdej stronie — same ogólniki!
Wystarczy przejrzeć!
Jeśli mam być szczery —
Faktów w niej brak!
I to nie bez kozery!
(Tu mówcy ktoś przerywa z sali:
„Ale ją dzisiaj X w gazecie chwali!”)
— Hm... tak...
Nie bez kozery
Zawszem go popierał!
Ja pytam,
Czy się tutaj znajdują tacy,
Którzy
Pomogli w czymś
Koledze Gracy,
Co nad swą książką zdrowie sterał?...
No, co?
Nie słyszę!

Tak!
Nie ma nikogo!
A wszak tę książkę,
Tak nam wszystkim drogą...
(Znów okrzyk: „Ale książkę z felerami!”)
Drogą, powiadam...
Czemu?
Wiecie sami!
Jest droga,
Bo kosztuje nas nie mało!
I powiem wam,
Kolego Graca,
Żle się stało:
Do dzieła ponad siły wzięliście się...
(„Lecz krytykę się ono spodobało!”)
Wzięliście się...
Do dzieła ponad siły
Adama Mickiewicza!
Lecz w sukcesie
Trudności te nie przeszkodziły!
Talentu przeto
Powinszujemy śmiało,
I powodzenia życzymy w pracy
Naszemu
Koledze tak uzdolnionemu,
Koledze Gracy!

Przełożył Władysław Kopaliński



Rys. Anna Pomianowska

Z MIEJSC STOJĄCYCH

Straszliwe niebezpieczeństwo nadświadomości

Nadświadomość — to okropna i groźna choroba. Nie jest ona wcale wytworem marksistowskiej metody myślenia. W mniejszym zasięgu grasowała u nas jeszcze przed wojną. Zналиście chyba takich ludzi samotnych, którzy rano wstawszy z łóżka rozglądali się po niechlujnym mieszkaniu. W mętym świetle świtu popadali w trudny i gorzki proces intelektualny. Sprzątać czy nie sprzątać mieszkania? I tu zaczynała funkcjonować nadświadomość: „Jeśli sprzątnę, to i tak jutro znajdę meble pokryte kurzem. Gdybym najstaranniej porządkował sprząty — ulegną w końcu zniszczeniu, trzeba będzie kupić inne, odmalować na nowo ściany. A przecież — w dodatku — człowiek nie jest nieśmiertelny”. I oczywiście nie posprzątawszy i nie umywszy nawet, policzków, taki osobnik wychodził na ulicę, jak to mówią, w Polskę.

Dziś jest jeszcze gorzej. Dialektyka sprzyja rozprzestrzenianiu się bakcyli nadświadomości. Materialistyczna metoda myślenia, jej dynamiczny ciąg poznawczy stwarza warunki dla masowego rozwoju tej przeklętej choroby.

Wyobraźcie sobie technika budowlanego, który przez okienko swego kantorka widzi, jak woźnice rozładowując furi z cegłą niszczą lekomyślnie cenny budulec. Pierwszym odruchem młodego technika jest chęć otworzenia wyżej wspomnianego okna i zwymyślenia marnotrawców. Lecz w tejże samej chwili włącza się nadświadomość. „Niszczą cegły — myśli technik — bo to element jeszcze nie uświadomiony. Rewolucja dzieje się w ciężkich warunkach, w niezwykle trudzie historycznym. Budujemy socjalizm z takimi ludźmi, jakich odziedziczyliśmy po kapitalizmie. Gdy wszyscy ukończą szkoły, gdy wpojmy im nową moralność, zmienią się ich stosunek do własności społecznej”. Za oknem tymczasem furmani rozbijają już czwartą setkę cegieł. „Trzeba też pamiętać — myśli dalej technik — że żyjemy w otoczeniu kapitalistycznym. Nacisk zewnętrzny zmusza nas do wielu ofiar, nie tak szybko idzie robota, jak byśmy pragnęli. Wszystko to zależy od sytuacji międzynarodowej, ta znów od problemu atomowego, a atom od kosmosu, który nieustannie poznajemy naukowo. Prawidłowość historyczna i tak zwycięży” — konkluduje tech-



Rys. Lech Zahorski

nik. Rozparłszy się na łokciach, popada w ufną drzemkę.

Na sąsiedniej ulicy siedzi literat nad kartką papieru w swoim mieszkaniu. Ma zamiar kropnąć felieton o braku pieczywa w sklepie naprzeciwko. Lecz nawet nie wie, że i jego płyty mózgowe żre już choroba nadświadomości. „Żyjemy w epoce rewolucji — myśli sobie — z trudem wykuwamy nowe. Wiele jeszcze niedostatków, lecz wszystko to są niedomagania wzrostu. Rozwój naszego socjalistycznego społeczeństwa przebiegałby szybciej, gdyby nie trudności obiektywne, jak otoczenie kapitalistyczne, sytuacja międzynarodowa, sprawa bomby atomowej itd. itd. Ale i tak słusność historyczna zwycięży: wyrosną przecież nowe pokolenia, ustali się nasza moralność, cały świat będzie szczęśliwy”. Pomyślawszy to wszystko, literat widzi, że całe to pieczywo w perspektywie historycznej w ogóle nie ma sensu. Beznamiętnym okiem spogląda niezapisaną kartkę do kosza i całkowicie spokojny lecz głodny wychodzi na przechadzkę.

Bracia, jeśli zastanowicie się nad powyższymi przykładami, będziecie krzyżować razem ze mną: błogosławiona bądź, zwykła, prosta żywiołowa naiwność!

Tadeusz Konwicki